Nr. 12 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 czerwca 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/10 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	▌15						■	■
Zające - szaraki [2])	▌15	■	■	■	■	■	■	■	■	▌20		
Zające - bielaki		15▌	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Rysie [1])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil, Białost., Nowogr., Polesk., Woł.		■	■	■	■	■	■	▌15	15▌	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.. Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Woł., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory [8])						■	▌15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety),[9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15▌	■	■	■	■	▌15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

[1]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
[2]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[3]) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 423.
[4]) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
[5]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[6]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
[7]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[8]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[9]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
[10]) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

STAROSTA POWIATOWY CHRZANOWSKI *Chrzanów, dn. 28 maja 1932 r.*
L: 1036/Bo/32

W dniu 16. czerwca 1932 roku, o godzinie 10-tej odbędzie się w gmachu Starostwa Powiatowego Chrzanowskiego, biuro Nr. 10.

PRZETARG USTNY

na skonfiskowaną broń myśliwską. Sprzedawane będą dwururki, jednorurki i floberty.

Starosta Powiatowy:
Dr Łęcki m. p.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

Biuro M. T. Ł. podaje niniejszem do wiadomości, że część własnych i komisowych wydawnictw może oddać po cenach zniżonych, jak następuje:

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk zł 1·— (zamiast 6·—)
Lisowice III. tom . . . . „ 1·— „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku. „ 1·— „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . „ 1·— „ 3·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. po „ 10·— „ 20·—

Sztolcman Jan: Żubr . . . . zł 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka R. P. P. z r. 1927 . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: „Słonka" . . . . „ 2·50
z doliczeniem opakowania i porta

Wiadomości handlowe

Ceny targowe zwierzyny łownej w czerwcu 1932 r.

Sarnina kg	od zł 0·00	do 0·00	bażant	od zł 0·00 do 0·00
dzik kg	„ 0·50	„ 0·00	kaczka	„ 2·00
zając ze skórą	do „ 0·00		słonka	„ 2·50
„ bez skóry	od „ 0·00	„ 0·00		

Ceny surowców zwierząt futerkowych pochodzenia kraj.

Kuna (różnica między kamionką a tumakiem nieznaczna)	od zł 70·00	do 80·00	wiewiórka	od zł 1·00	do 1·20
wydra waha się w granicach	„ „ 90·00	„ 100·00	gronostaj	„ „ 7·00	„ 8·00
lis który dawniej królował, dziś niema wielkiego popytu, to też cena lisa wynosi	„ „ 25·00	„ 40·00	zając	„ „ 0·90	„ 0·00
tchórz	„ „ 12·00	„ 16·00	królik kuśnierski	„ „ 1·00	„ 1·20
borsuk	„ „ 13·00	„ 15·00	skóra sarnia	„ „ 2·00	„ 2·50
			skóra jelenia	„ „ 4·00	„ 5·00
			skóra z dzika	„ „ 4·00	„ 6·00

TREŚĆ NUMERU 12:

Nr. 12 We Lwowie, 16 czerwca 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXXI. ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

ODBĘDZIE SIĘ W DNIU 26 CZERWCA 1932 R. WE LWOWIE

MSZA ŚWIĘTA przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godzinie 9-tej rano.

WALNE ZGROMADZENIE Członków M. T. Ł. odbędzie się o godzinie 10-tej rano w sali Kasyna Narodowego przy ul. Mickiewicza l. 6 (parter).

Z inicjatywy Małopolsk. Tow. Rolniczego odbędzie się w dniach 24, 25 i 26 czerwca b. r. w jednym z pawilonów na placu Targów Wschodnich Wystawa psów rasowych.

Zwracając uwagę Myśliwych na powyższą okoliczność, wyrażamy nadzieję, że dzięki Ich zainteresowaniu się, dział psów myśliwskich, obficie będzie obesłany. Po blankiety zgłoszeń i regulamin wystawowy należy zgłaszać się pod adresem: Lwów, Targi Wschodnie — Wystawa psów, lub do biura M. T. Ł.

Równocześnie, w tymsamym pawilonie urządzona będzie pierwsza WYSTAWA POLSKIEJ KSIĄŻKI KYNOLOGICZNEJ. Obejmie ona wszelkie działy piśmiennictwa, traktującego o psie od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej. Wydział M. T. Ł., z którego łona wyszła inicjatywa zorganizowania takiej wystawy, nie wątpi, że wzbudzi ona jak najżywsze zainteresowanie w szerokich kołach myśliwych i miłośników psa.

Sprawozdanie

z czynności Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego za rok 1931/32

Sprawozdanie niniejsze obejmuje krótszy niż zwyczajnie okres czasu, upływa bowiem dopiero dziewięć miesięcy od ostatniego Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia, odbytego w dniu 12 września 1931.

Okres ten, acz krótki, był dla Towarzystwa niezwykle ciężkim, bo musiało ono walczyć z trudnościami finansowemi, gdyż wobec ogólnego zastoju gospodarczego, dopływ wkładek zmniejszył się oczywiście znacznie, ograniczenie zaś wydatków, mogło nastąpić w małej tylko mierze. Do sprawy tej wrócimy jeszcze w toku niniejszego sprawozdania.

Poważniejsze jednak obawy budzi zjawisko, spowodowane niewątpliwie także kryzysem gospodarczym, iż liczba członków Towarzystwa stale spada, gdyż ubytki w szeregach naszych spowodowane przez śmierć i wystąpienie członków, nie zostają wyrównywane nowemi zgłoszeniami przystąpienia. Straciliśmy w okresie sprawozdawczym 75-ciu członków, zyskaliśmy zaś zaledwie 15-tu nowych, a zauważyć należy, że w bliskiej przyszłości nastąpić może i dalszy spadek liczby członków, skoro 101 osób utrzymujemy wprawdzie dotąd jeszcze w ewidencji, ale nie wysyłamy im „Łowca" już od 1 stycznia 1932, z powodu wielkich zaległości we wkładkach lub dlatego, żeśmy z nimi utracili kontakt.

Z głębokim żalem wymieniamy tu nazwiska członków, których przez śmierć utraciliśmy na zawsze.

Zmarli w okresie sprawozdawczym: Biberstein-Błoński Antoni, Bogucki Władysław, Dolański Stanisław, Ebenberger Adam, Horodyski Leon, Kaempffe Albert, Łysakowski Tadeusz, Mięsowicz Władysław, Puchalski Władysław, gen. Stiller Józef, Tarnowski hr. Juljusz, Urbański Jan i ks. Zaremba Michał.

Straciliśmy zatem Towarzyszy bardzo wiernych, niektórych osiwiałych w pracy na polu łowieckiem, kilku gorliwych delegatów, w osobie Józefa Stillera energicznego i zapobiegliwego prezesa autonomicznego Oddziału Towarzystwa w Krakowie i wiceprezesa M. T. Ł., a wreszcie w osobie Adama Ebenbergera, jednego z najczynniejszych członków Wydziału, znakomitego organizatora imprez strzeleckich, czy to przez samo M. T. Ł. urządzanych, czy też tych, w których ono obejmowało kierownictwo strzelań myśliwskich.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej odznaczył ś. p. Adama Ebenbergera, już po jego śmierci, złotym krzyżem zasługi, za doskonałe zorganizowanie strzelań myśliwskich na zeszłorocznych Międzynarodowych zawodach strzeleckich. Odznaczeniem tem dzieli się niejako ze ś. p. Zmarłym nasze Towarzystwo, gdyż ś. p. Ebenberger działał wtedy w imieniu Towarzystwa i w jego zastępstwie, a potrafił, mimo ogromnych trudności i skąpej pomocy finansowej Rządu, na ten dział strzelectwa udzielonej, swą zapobiegliwością, przy pomocy kilku zaledwie członków Wydziału i Towarzystwa, te strzelania tak przygotować, iż z wyrazami szczerego widocznie uznania i zadowolenia, spotkaliśmy się już w czasie zawodów, także ze strony cudzoziemców, a wszak byli to ludzie tacy, którzy bywając na znanych strzelnicach europejskich, choćby z tego powodu do pochwał i zachwytów zbyt pochopnymi być nie potrzebowali. Dzięki ś. p. Ebenbergerowi i tym kilku chętnym jego pomocnikom, wywiązaliśmy się dobrze z zadania powierzonego nam przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

Godzi się w tem miejscu podnieść, że za wyczyny strzeleckie osiągnięte na tych zawodach zostali odznaczeni z pomiędzy członków M. T. Ł. srebrnemi krzyżami zasługi: Eustachy Barański i kpt. Jerzy Podoski, jako członkowie zespołu, który zdobył mistrzostwo światowe w strzelaniu do jelenia pojedyńczego w biegu.

W grodzie naszym, odbywają się od kilku lat stale Narodowe zawody strzeleckie, a prócz tego wiele innych podobnych imprez. Nasze własne tradycyjne zawody odbyły się ostatnio w r. 1929. Przez dwa ostatnie lata zwracaliśmy się w odezwach drukowanych w „Łowcu" do naszych członków, by swój udział w zawodach nam zapewnili, a urządzimy strzelanie, jeśli się zgłosi odpowiednia liczba uczestników. Zgłoszenia były zawsze minimalne. W roku bieżącym poszliśmy dalej jeszcze, gdyż zwróciliśmy się listownie z takim apelem do uczestników kilku ostatnich strzelań; otrzymaliśmy jednak zaledwie 5 zgłoszeń. Dla tak malej ilości uczestników, nie można oczywiście strzelania urządzać, gdyż pomijając, że Towarzystwo musiałoby poczynić dość znaczne wydatki, musimy liczyć się i z tem, że jedno nieudałe strzelanie pogrzebałoby odrazu i na zawsze tradycję, która zatraca się na razie tylko zwolna, przez nieurządzanie strzelań. Z osób, które nie brały jeszcze udziału w naszych strzelaniach, z niedawno przyjętych członków M. T. Ł., a w szczególności z młodzieży, nie zgłosił się, mimo odezwy w „Łowcu" literalnie nikt z gotowością wzięcia udziału w takich zawodach Towarzystwa.

Wkrótce po zakończeniu Międzynarodowych zawodów strzeleckich i po ostatniem Walnem Zgromadzeniu otrzymaliśmy zaproszenie z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, do wzięcia udziału przez delegatów w obradach jego komisji do sprawy nowelizacji prawa łowieckiego. Reprezentowali nas w tych obradach, w dniu 21 września M. Chrzanowski i A. Sander, a w dniu 9 października M. Chrzanowski i A. Ulm.

Komisja wypracowała całkowity projekt nowego prawa łowieckiego, w którym wypełniono luki prawa łowieckiego z r. 1927 i sprostowano niektóre jego niedopatrzenia, a wprowadzono wiele nowych postanowień, mających na celu podniesienie łowiectwa w Państwie.

Z zadowoleniem przytem zaznaczamy, że postulaty M. T. Ł., członkom naszym znane i na ostatniem Walnem Zgromadzeniu omawiane, zostały prawie w całości

w projekcie zamieszczone. Uchwalony przez Komisję projekt, został następnie, podobno jeszcze w ciągu października 1931, wniesiony do Ministerstwa rolnictwa.

Wynikłe z początkiem r. 1932 nieporozumienie między M. T. Ł. a Polskim Związkiem Stowarzyszeń Łowieckich na tle pominięcia łowców małopolskich przy nadaniu odznak „Złotego złomu", zostało następnie wyrównane, wobec dobrej woli obu stron, po stwierdzeniu, że zaszło istotnie tylko nieporozumienie, wolne od wszelkich tendencyj ubocznych. Nieporozumienie to, przyczyniło się też do zmiany na stanowisku Prezesa Związku, gdyż dotychczasowy Prezes Juljusz hr. Bielski, zgłoszonej w tym czasie rezygnacji nie cofnął, doszedłszy do przekonania, że czynności Prezesa Związku skuteczniej prowadzić może tylko osobistość zamieszkała w Warszawie. Walne zgromadzenie Związku wybrało w dniu 17 kwietnia 1932, Prezesem gen. dyw. Kazimierza Sosnkowskiego. Wybór ten dokonany przez aklamację, zatem także głosami naszych przedstawicieli, którymi wówczas byli M. Chrzanowski i Dr. W. Ziembicki, a z Oddziału w Krakowie, Adam hr. Starzeński, powitaliśmy z pełnem zadowoleniem, gdyż osoba gen. Sosnkowskiego, zamiłowanego myśliwego, daje pełne gwarancje, że łowiectwo polskie zyskało w ten sposób znowu wodza energicznego, a sprawom łowieckim szczerze oddanego.

To samo Walne Zgromadzenie, nadało przez aklamację ustępującemu Prezesowi Juljuszowi hr. Bielskiemu godność pierwszego członka honorowego Związku.

W uzupełnieniu składu Zarządu Związku, wybrano doń z M. T. Ł. Wojciecha hr. Gołuchowskiego i M. Chrzanowskiego. Wobec znacznej odległości Lwowa od Warszawy, włożono na tych Panów dość ciężki obowiązek uczestniczenia kilka razy do roku w posiedzeniach Zarządu, jesteśmy jednak przekonani, że stały kontakt między Związkiem i M. T. Ł., w ten sposób wzmocniony, przyczyni się do zupełnego przywrócenia wzajemnego zaufania między temi poważnemi twierdzami propagandy prawdziwego łowiectwa.

Z inicjatywy klubu myśliwskiego „Ponowa" zaprosiliśmy w styczniu b. r. wszystkie Towarzystwa myśliwskie we Lwowie siedziby mające, celem wdrożenia akcji ku zniżeniu czynszów za polowania Spółek łowieckich.

Wynikiem tej konferencji było wystosowanie do Starostwa we Lwowie i do kilku Starostw sąsiednich pism przez wszystkie Towarzystwa podpisanych, a przez Prezydjum M. T. Ł. gorąco popartych, aby one zechciały wpłynąć na Zarządy spółek łowieckich w tym kierunku, by te przyjmowały tylko oferty poważnych reflektantów, w pierwszej linji Towarzystw myśliwskich, przyczyniających się do podniesienia zwierzostanów, a płacących regularne czynsze, zgodziły się zaś na sprawiedliwą obniżkę czynszów tam, gdzie one nie stoją w żadnej proporcji do wartości terenu, a wyśrubowane zostały do przesadnej wysokości tylko sztucznie, wskutek niezdrowej konkurencji.

Mamy wrażenie, że konferencja ta przyczyniła się też do zacieśnienia węzłów koleżeństwa między reprezentowanemi na niej Towarzystwami, że usunie ona trafiającą się przedtem gdzieniegdzie wzajemną nieufność, a wykluczy ubieganie się o te same tereny przez dwa lub więcej Towarzystw, skoro one określiły na tej konferencji jasno i zgodnie, które tereny uważają za ośrodek swego gospodarstwa łowieckiego i w którym kierunku jeszcze zamierzają się rozszerzyć.

W ciągu okresu sprawozdawczego dwa Towarzystwa myśliwskie we Lwowie siedzibę mające, odbyły swe Walne Zgromadzenia w lokalu M. T. Ł. Oznajmiamy, że Zarząd Towarzystwa i w przyszłości udzieli z największą gotowością gościnę Towarzystwom przy M. T. Ł. skupionym dla podobnych celów.

Akcję ku stworzeniu dokładniejszej statystyki zwierzyny prowadzimy dalej. Po zamieszczeniu w „Łowcu" dwóch sprawozdań na podstawie dat nam nadesłanych, zwróciliśmy się znowu z odezwami do naszych delegatów o zbieranie dat odnośnych i nadsyłania ich nam w ustanowionych terminach.

Nie rozesłaliśmy natomiast uchwalonych przez zeszłoroczne Walne Zgromadzenie, na wniosek Augusta hr. Krasickiego, kwestjonarjuszy do delegatów, bo stwierdziliśmy, że podobne kwestjonarjusze zostały już rozesłane przez Polski Związek, a to w województwach małopolskich za pośrednictwem M. T. Ł.

Wracamy raz jeszcze do spraw finansowych Towarzystwa.

Opieszałość w płaceniu wkładek była zawsze bolączką Towarzystwa, była nią i wtedy, gdy jej dobrobyt ekonomiczny nie usprawiedliwiał. Obecnie nie dziw, że po wybuchłym kryzysie gospodarczym stan zaległości jeszcze się powiększył. Wobec znacznie zmniejszonych wpływów kasowych, ograniczyliśmy o ile możności wydatki na administrację, zwalniając między innemi księgowego; nie mogliśmy się natomiast zdecydować na przemianę „Łowca" z dwutygodnika na miesięcznik, z motywów znanych i ciągle powtarzanych. Ograniczyliśmy tylko objętość poszczególnych numerów, ale i od tej oszczędności musieliśmy od czasu do czasu odstępować, gdyż inaczej nie uporalibyśmy się nigdy z materjałem zalegającym w tece redaktorskiej.

Wydział zrobił ze swej strony wszystko możliwe, by byt Towarzystwa i wydawnictwa utrzymać, przyczem zauważamy, że zgodnie z radą jednego z Panów delegatów, udzieloną nam na zeszłorocznem Walnem Zgromadzeniu, staraliśmy się też między innemi ściągnąć zaległe wkładki za pośrednictwem delegatów. Akcja ta nie dała prawie żadnych rezultatów; od delegatów nie wpłynęły prawie wcale kwoty ściągniętych wkładek, niektórzy zaś delegaci wymówili się od spełnienia takich, jak twierdzą, przykrych czynności.

Jednakowoż delegaci nasi mogliby zapobiec trudnościom finansowym Towarzystwa, gdyby zechcieli rozwinąć żywszą agitację za przystępowaniem do Towa-

BILANS

Małopolskiego Tow. Łowieckiego we Lwowie na dzień 31 grudnia 1931 r.

STAN CZYNNY	Zł.	gr.	STAN BIERNY	Zł.	gr.
Kasa	707	01	Zaległe wkładki	21.954	39
Gal. Kasa Oszczędności, Lwów	184	46	Wierzyciele	989	26
P. K. O. Warszawa	162	22	Fundusz Ołtarzowy św. Huberta	1.987	30
Udziały	283	50	Sumy przechodnie	4.041	09
Członkowie	21.954	39	Zysk	1.445	31
Dłużnicy	4.158	53			
Odznaki i dyplomy	15	94			
Książki własne	176				
Książki obce	675	30			
Bibljoteka	1.000	—			
Ruchomości	800	—			
Sumy przechodnie	300				
	30.417	35		30.417	35

Lwów, dnia 31-go grudnia 1931 r.

Zestawił: *K. Wilczyński* *Juljusz hr. Bielski* Prezes *Stanisław Pieńczykowski* Skarbnik

Komisja rewizyjna:

Dyonizy Toth *Inż. Kazimierz Gąsiorowski*

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW

Małopolskiego Tow. Łowieckiego we Lwowie na dzień 31 grudnia 1931 r.

WINIEN	Zł	gr.	MA	Zł	gr.
Wydawnictwo „Łowca"	14.296	40	Wkładki	33.655	99
Koszty handlowe	16.168	53	Ogłoszenia	2.760	79
Nagrody	250	—	Odsetki	113	88
Prowizje	2.981	86	Różne zyski	1.042	80
Różne straty	2.431	36			
Zysk	1.445	31			
	37.573	46		37.573	46

Lwów, dnia 31-go grudnia 1931 r.

Zestawił: *K. Wilczyński* *Juljusz hr. Bielski* Prezes *Stanisław Pieńczykowski* Skarbnik

Komisja rewizyjna:

Dyonizy Toth *Inż. Kazimierz Gąsiorowski*

rzystwa, a zwalczać dobrowolną zeń secesję, przyczem jako skuteczny argument mogliby podnosić tę prawdziwą zupełnie okoliczność, że istnieje tendencja sfer miarodajnych, by w przyszłości uzyskanie kart łowieckich uczynić zawisłem od przynależności petenta do myślistwa zorganizowanego.

Z wnioskiem podwyższenia wkładek nie ośmielamy się wystąpić wobec Walnego Zgromadzenia, licząc się z panującym kryzysem i powszechnym brakiem pieniądza, zwłaszcza, że w ostatnich miesiącach otrzymywaliśmy listy od naszych członków z żądaniem bądź indywidualnego obniżenia wkładki korespondentowi, bądź nawet z wnioskiem obniżenia ich wogóle.

Inicjatywy, jakich użyć środków, by byt Towarzystwa 56 lat istniejącego nadal utrzymać, oczekujemy od Walnego Zgromadzenia.

W roku bieżącym gasną mandaty całego Prezydjum, a z tytułu starszeństwa i dokonanego losowania, mandaty członków Wydziału: ś. p. Adama Ebenbergera, gen. Walerego Marjańskiego, Dr. Franciszka Piechowskiego i Henryka Preka, tudzież mandaty zastępców Stanisława Madeyskiego i gen. Franciszka hr. Meraviglji. — Dokonanie wyborów uzupełniających będzie rzeczą Walnego Zgromadzenia.

Dr Alfred Sander
Wiceprezes

Juljusz hr. Bielski
Prezes

PRELIMINARZ NA ROK 1932

L. p.	PRZYPUSZCZALNE DOCHODY	Zł.	gr.
1	Zapas gotówki z r. 1931	707	01
2	Wpływy z wkładek członk. . . .	16.400	—
3	„ z Oddziału Krak. . . .	3.500	—
4	„ z ogłoszeń.	900	—
5	„ z prenumeraty . . .	2.000	—
6	„ ze sprzedaży książek wł.	40	—
7	„ „ „ obcych . .	10	—
8	„ z odznak i dyplomów .	30	—
9	„ z odsetek bank. . . .	50	—
		23.637	01

L. p.	PRZYPUSZCZALNE ROZCHODY	Zł.	gr.
1	Wydawnictwo „Łowca”	10.000	—
2	Pobory personalu	7.000	—
3	Czynsz z podatkiem	1.250	—
4	Światło i opał	350	—
5	Telefon	354	—
6	Przybory kancelaryjne i druki . .	350	—
7	Koszta podróży delegat.	700	—
8	Ubezpieczenie społeczne	350	—
9	Porta	600	—
10	Nagrody strzeleckie	200	—
11	Wkładka do P. Z. S. Łow. . .	750	—
12	„ do Ligi Och. Żubra . .	50	—
13	„ do Tow. Dendrologiczn.	50	—
14	Uzupełnienie bibljoteki	50	—
15	Prenumerata pism obcych . . .	150	—
16	Nieprzewidziane i różne	400	—
17	Prowizje od ogłoszeń	100	—
18	„ kursorowi	300	—
	Przypuszczalna nadwyżka dochod.	633	01
		23.637	01

KAZIMIERZ WODZICKI

W Białowieży — ze strzelbą, lupą i objektywem

II. Na „Sawiczym Mochu”.

(Ciąg dalszy)

Prędko zbiega wieczór pierwszy, a za nim króciutka noc głuszcowa; ulokowanie i rozpakowanie małego, przywiezionego z Krakowa laboratorjum z niezbędnym instrumentem, nie kończące się dyskusje z gościnnym nadleśniczym na temat szans na poszczególnych tokowiskach, samej puszczy i jej wielorakich mieszkańców, wypełniają czas cały. Zresztą któżby spał, skoro decyzja zapadła podchodzenia na bagnie zwanem „Sawiczyj Moch”. Znajduje się ono najbliżej, bo około godziny jazdy (4 km) i gra na niem obecnie 15—20 tokowików; dwa inne tokowiska posiadają mniej tokujących kogutów oraz leżą o wiele dalej, bo 3—5 godzin jazdy.

Las w Białowieży a raczej ten jeszcze mimo wszelkich

zakusów człowieka wciąż dziewiczy bór, ma w sobie coś specyficznego, co może bardziej uderza kogoś, kto przybył od Zachodu, który od szeregu wieków stracił swoje puszcze lub też przemienił je w parkowe leśne zarośla.



Matka rodu. Białowieża 1932

Fot. Dr K. Wodzicki

Tą cechą specyficzną jest, zdaje mi się, z jednej strony wielkość, z drugiej ta, powiedziałbym, w całem tego słowa znaczeniu naturalność tego kompleksu: wprost nie można sobie wyobrazić, by tu mogło być coś innego niż las, ten las, który przyszedł zapewne po ustąpieniu lodów i chłodów dylluwium, las panoszący się w różnych swoich skupieniach i botanicznych associach odwiecznych, mimo targającej się na ten naprawdę pomnik natury, ręki człowieka. Dalszem wrażeniem, które uderza na myśliwego podążającego w tę majową pierwszą noc głuszcową, przedziwnie pogodną, to ta przeraźliwa wprost swoją głuchotą cisza, gotującego się przedświtu pogodnego, przedwiośnianego dnia. Cisza, przerywana tylko od czasu do czasu ponurym pojękiem puszczyków, poza miarowem, wolnem tempem zakutego w arbę mierzyna, jest tak wszechwładna, że wnet milkniemy, nie czując jakby sił na mącenie tej kończącej się za chwilę nocy przedwiośnia.

Długo trwała ta droga, może godzinę, może półtora, aż naraz bezszelestnie wysunęła się z cieniów nocy postać w szarej, skórzanej kurcie, długich jałowicznych butach, o zielonej „służbowej" czapce. W małą chwilkę potem rozniecone ognisko pozwoliło zapoznać się cokolwiek z wyglądem Józefa Szerszunowicza, strzelca nadleśnictwa, który ponoś już w czwartej generacji pełni tę funkcję w puszczy. Z radością widzę znikające z twarzy Józefa niedowierzanie: snać „profesor" wydał mu się młodszym i mniej ociężałym, niż oczekiwał. Ruszamy, mamy około kilometra drogi przed sobą do tokowiska. Józef sunie tempem, do którego mimo trainingu narciarskiego, ani rusz nie mogę się dostosować; czuję, że zna każde drzewo, niemal każdą kępkę trawy. Schodzimy po chwili widocznie wdół, woda zaczyna chlupotać, po chwili wnikać niemiłosiernie w różnych miejscach, przy coraz głębszem zapadaniu się we wodę. Nie ulega wątpliwości, jesteśmy na „Sawiczym Mochu", tempo zresztą staje się wolniejsze, coraz częściej w świetle zachodzącego księżyca widzę dziwacznie wydłużającą się szyję Józefa w tę lub drugą stronę. Wreszcie stoimy, przeważnie w lodowatej wodzie, której już jednak nie czuję wcale. Cisza dzwoniąca w uszach naraz rozdartą zostaje zewem żurawi, które słyszę po raz pierwszy w pełni swoich niesamowitej, rozpacznej tęsknoty. To sygnał dla nas. W chwilę potem suniemy naprzód; „już gra"; ale długa chwila upłynęła, nim moje niewprawne, miejskie ucho posłyszało początek tej dziwnej pieśni, jedynej w swoim rodzaju, niepodobnej zdaje się do żadnego z głosów godowych innych ptaków. Ledwie rozpoczęło się pierwsze szlifowanie z zawrotnem tempem podskakiwania, słychać jak obok pierwszego gra drugi, po drodze trzeci, za nami rozpoczyna gdzieś dalszy, w chwilę potem, bliżej lub dalej cały szereg kogutów stanął do dorocznego turnieju miłości i życia. Stanęliśmy: „nie rozbierzesz który, niemasz dziś krajowych". Próbujemy jednak szczęścia w uroczysku, na którem widnieje, umilkły już głosy nocy i rozpoczyna się już pieśń całego chóru ptaków, jakby na znak tego króla „Sawiczego Mochu", który trzyma pierwsze w tym koncercie skrzypce.



Powrót z „Sawiczego Mochu". Puszcza swisłocka 1932

Po kilkunastu krokach, słyszymy znów pieśń nowego śpiewaka, ale tuż po początku urywa i głośny łoskot zwiastuje, że tego nie zobaczymy w dniu dzisiejszym. Pociąga on za sobą drugiego, w chwilę potem następuje

przylot głuszyc i zlot kogutów na ziemię. „Nie poszan=cowało"...

‚Sawiczyj Moch" ma bezwzględnie swój specjalny urok, może specjalnie dla Małopolanina, dla którego głu=szec jest par excellence górskim ptakiem i którego tylko w takiem, a nie innem milieu możemy sobie wyobrazić. Rozległa, paręset hektarowa depresja terenu wśród bez=kresnego boru sosnowego, pokryta rzadkim lasem w po=staci karłowatych sosen i rzadkich brzóz, od czasu do czasu podszytym suchym, zamarłym jeszcze szuwarem. Bagno pełne wykrotów od leżących drzew, obumarłych ze starości, mimo że grubość ich nie przekracza rozmia=rów sosny dwudziesto kilkuletniej o wyściółce z kęp torfiastych, z których niezręczna stopa zsuwa się, by za=paść się w chlupoczącą triumfalnie lodowatą wodę.

Szczęście, że całkiem na dnie, pomiędzy temi kępami czuć jeszcze zimę w postaci twardej zamrozi. Takie dziw=ne miejsce wybiera sobie tutaj głuszec na swoje gody we=selne, miejsce sposobniejsze dla zamieszkujących je po=zatem żórawi lub czarnych bocianów, których ku mojej uciesze szereg okazów podczas „zasadzania" wieczorne=go widziałem. Podobno znajdują się też i wilki, letnią porą tu przebywające.

Zresztą łowy te są naprawdę w całem tego słowa zna=czeniu a fair play; królewski ptak ma (oczywiście po=za sztucerem lub dubeltówką) niemal te wszystkie szan=se, co człowiek. Chlupocząca woda obok trzaskającego szuwaru, pociągająca przy każdym mniej uważnym ruchu przynajmniej jedną połowę ciała w swoje naogół lodowate objęcia, stanowi jedną z faktycznych przy=jemności polowania; co za emocje, jak z jednym z za=bitych przezemnie głuszców, który posłyszawszy, po kilkunastominutowem podskakiwaniu mój niezręczny ruch, kończący się z zupełnem zetknięciem się z wodą większą powierzchnią mojego ciała, utknął, namyślał się przez czas kilkunastu pieśni, rozpoczął swoją pieśń po raz drugi i urwał, by się przenieść na inne drzewo, gdzie znów podobnych kilkadziesiąt metrów pozostawało do przebycia, by wreszcie celnym strzałem ukrytego pośród gałęzi zdobyć. C. d. n.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

Ponieważ K. i jego ludzie byli przemęczeni — zanie=chali dalszego tropienia słonia — postanawiając tu przenocować.

I oto znaleźliśmy się znowu na wspólnem obozowi=sku. Miejsce, które obraliśmy pod obóz, leżało u wej=ścia do jaru, skąd wypływał strumyk o doskonałej wo=dzie. Kępa wysokich drzew, rosnących nad samym brze=giem strumyka, użyczała — nie tyle cienia od swych na=gich i obsuszonych ogniem konarów — ile raczej moc paliwa, po które nie potrzeba było daleko się fatygo=wać. A jest to dla czarnych obok wody — kwestją pierwszorzędnego znaczenia.

Pozatem i położenie było zachęcające. Z lasku mieli=śmy widok na długą a wąską dolinę, ciągnącą się po=między odnogami górskiemi o łagodnych stokach, z wy=lotem nieco rozchylonym, który nam okazywał daleką, w mgłach spowitą równinę „Puchila=plains", oraz kon=tury urwistych wierzchołków gór „Mlandzie".

Strumyk, wrzynający się w dolinę wąską strugą, dzie=lił ją niejako na dwie — kontrastujące ze sobą korytem — połowy. Gdy bowiem prawobrzeżna część — po nie=dawnym pożarze — szarzała od popiołów pokrywają=cych ziemię grubą warstwą, to strona przeciwna świeci=ła połyskiem żółtych traw, kołysanych lekkim powie=wem wiatru.

Niezwykły ten obrazek miał mi się głęboko wryć w pamięci z powodu dramatu, jaki niebawem na tej do=lince się rozegrał.

Po objedzie, gdy Kazimierz ułożył się do drzemki — jego ludzie również odpoczywali — wybrałem się z dwoma chłopakami na wywiad. Chciałem przepatrzyć ową część spaloną, i przekonać się, czy jaka zwierzyna tamtędy nie przechodziła. Bowiem na świeżym popiele, to — jak w krajach północnych na świeżym śniegu — dzieje ostatniej chwili, a także dni ostatnich — najłatwiej z tropów odczytać się dadzą.

Zaledwie wszedłem na stok opalonego pagórka — wi=dzę tropy nosorożców. Dwie sztuki!... Jakkolwiek ślady były już nieco od wiatru zaprószone, więc nie dzisiejsze — ale emocja duża... Nosorożce gdzieś w pobliżu!...

Aby się tą nowiną z Kazimierzem podzielić — zawra=cam ku obozowi.

Jestem już w polowie drogi — gdy mi na myśl przy=chodzi — wypalić i tę stronę góry, którą nam zasłaniają trawiska.

— Może wypłoszę stamtąd jaką zwierzynę?... a nam mięsa do kuchni brakowało od dawna.

Z tem postanowieniem wdrapuję się na stok przeciwny. Na grzbiecie góry stwierdzam, że tu kończy się pole traw a zaczynają zarośla.

— Doskonale! Więc rozstawiam chłopaków w pewnem od siebie oddaleniu — i każę trawy podpalać.

Wiatr wiał w kierunku wylotu doliny, spodziewać się zatem mogłem, że wypłoszony ewentualnie zwierz, umykać będzie na część już wypaloną.

Ogień objął wnet znaczną przestrzeń traw. Gdy linja pożaru posunęła się ku połowie stoku, przedarłem się szybko poprzez pozostałe na naszych tyłach trawiska, a stanąwszy pod ich osłoną nad strumykiem — zająłem wyczekujące stanowisko.

Po chwili byli tam za mną moi chłopcy.

Zaledwie zrównali się ze mną, już mi wskazują na jakieś ślady po drugiej stronie strumyka.

Przeskakuję wodę... Rzeczywiście trop!... racice!...

— Dzik, czy antylopa?...

Aby śladom lepiej się przypatrzeć, schylam się...

W tem od strony obozu krzyk...

Jakby w przeczuciu czegoś złego — a mam ciągle na myśli nosorożce — szybko zdążam w tę stronę.

Nie uszedłem kilkudziesięciu kroków, gdy słyszę jeden — potem zaraz drugi strzał.

Byłem już wówczas w pełnym biegu. Dopadłszy miejsca nad strumieniem, skąd — jak sądziłem — szedł krzyk, przystanąłem. W tej chwili zobaczyłem na stoku, stojących w trawach kilku czarnych ze strzelbami i Kazimierza, który do nich zdążał. Przeskakuję znowu strumień.

W tym momencie pada trzeci strzał ze strzelby murzyńskiej. Równocześnie, wprost mnie w trawach, dość nawet blisko, mignęła głowa.

I cisza...

Obchodzę to miejsce i staram się zbliżyć do K., zaś równocześnie daję znak ręką, aby na mnie zaczekano. Gdym się znalazł w pobliżu, pytam cicho: co jest?

— Lew! — gdzieś tu w trawach — szepce K.

Bez słów, bez zwlekania, prawie automatycznie, rozstawiamy się w tyraljerkę. Od lewego skrzydła K., po prawem ja, zaś pośrodku sześciu czarnych z tropicielem na czele. Murzyni — jakby zrozumieli powagę chwili, w milczeniu czekają na rozkaz.

Daję znak ręką... Powoli posuwamy się naprzód. Gęste trawy, sięgają nam do ramion. Wypatrzenie zwierza bodaj na kilka kroków wręcz niemożliwe. Chcemy go jednak wyprzeć na część już wypaloną... Kilka kroków nie przynosi nam żadnego wyjaśnienia sytuacji. Lew milczy — naprężenie rośnie.

Gdy patrzę na tę ścianę traw przed sobą, mimowolnie zadaję sobie w myśli pytanie: jak tu strzelić?...

I pada mój wzrok przelotnie to na czarnych, to na K. Zapatrzeni przed siebie ledwie się poruszają.

Jeszcze kilka kroków... Cisza taka sama. Czyżby drapieżca zwiał?

Wysuwam się nieco na prawo... W tem gwałtowny, krótki ryk, który mię podrywa, potem szelest traw poruszonych, w czasie czego ukazuje mi się na chwilę część ogrzywionej lwiej głowy, aby znowu zgubić się z przed oczu.

Zwierz uchodzi. Przedziera się trawami równolegle z lewem skrzydłem. Musi już być gdzieś na wolnem miejscu, bo z wołaniem murzynów: uku! — uku!*) — pada strzał...

Poszedł!... strzelił doń tropiciel w chwili, gdy wypadł na spalenisko — niestety, chybił, co tylko przyśpieszyło jego ucieczkę. W kilku olbrzymich susach dopadł wąwozu, skąd miał już bliską drogę do lasu, który go pochłonął.

K. zobaczył go wprawdzie na mgnienie oka, jednak nie był już w stanie złożyć się do strzału. Poszedł jeszcze z tropicielem na trop i zawracają.

Skręcam więc i ja w ich stronę. Zaledwie ruszyłem się z miejsca, potykam się o ciało ludzkie!...

Czarny chłopak leży twarzą do ziemi...

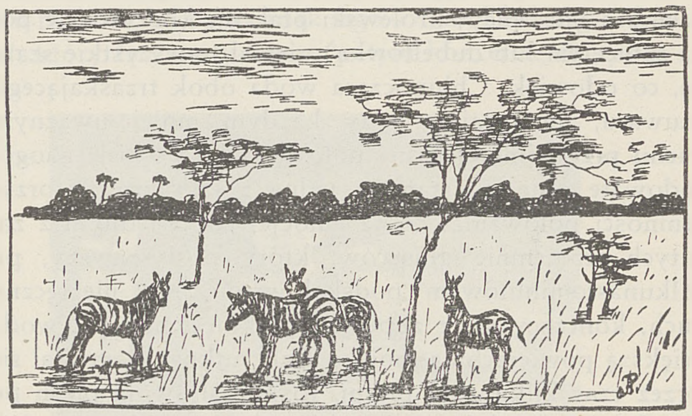
Próbuję go odwrócić... Bezwład!

Przewracam go wreszcie niezdarnie. Macam pospiesznie puls, przykładam ucho do piersi, czy też nie usłyszę serca bicie... niestety, nie ma tam życia.

Wyciągam wreszcie wplątaną w trawy głowę. Krtań przedarta, jedno ramię głęboko pazurami przeorane!... Wołam na Kazimierza.

Przedziera się do mnie przez trawy; za nim wpada reszta murzynów.

(C. d. n.)



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Wiosenne nastroje

Pierwsza połowa maja dobiegała końca, to też intenzywność toków słabła coraz bardziej. Zaledwie tylko kilku już czarnych szermierzy wiosny bulgotało namiętnie rankami na porębach koło „Leśnego jeziora“ — reszta dawno zamilkła. Chcąc zdobyć w tym sezonie jeszcze jedno trofeum cietrzewie, wyruszyłem o zachodzie słońca ze dworu, mając zamiar nocować w lesie nad jeziorem, skąd już o brzasku blisko miałbym do tokowiska. Po godzinnym przeszło marszu, znalazłem się na brzegu zamarłej w bezruchu tafli wodnej. Owinąłem się w koc i nie rozniecając ogniska, ułożyłem się na spoczynek pod drzewem na wzgórzu, mając odsłonięty widok na całe jezioro.

*) tam! — tam!

Już złote, majowe słońce dawno skryło swą ognistą tarczę za ciemnym konturem dalekiego boru, już szafirowy zmierzch zalał całą okolicę, zatuszowując wszystko i dodając dziwnej tajemniczości srebrnej makacie jeziora, aż oto blady księżyc, niby lampa u stropu niebios uwieszona, rozjaśnił pogrążoną w mrokach ziemię. Wśród wzgórz porosłych drzewami, leżało ciche, mgliste wód przestworze, odbijając w sobie jak w lustrze krajobraz okolicy. Tutaj niebotyczne sosny o wiecznie zielonych koronach tworzyły malowniczą grupę, tam niskie krzewiny z leszczyną na czele wyścielały spadzisty skłon góry, nad wodą wystrzelały gałęzistemi strzałami chropawe czarne olchy. A za jeziorem wznosił się gaj liściasty, srebrny w blasku księżyca, utworzony z pni osik i białych brzóz, które swą wyniosłą postacią górowały nad całą bracią drzewną, dookoła rozprzestrzenioną.

Rozpostarte u moich stóp jezioro błyszczało srebrem, mieniło się brylantami, pełne dziewiczego, niepokalanego piękna. Gdzieś, na wierzchołku nagiej jeszcze dębowej strzały — drozd-śpiewak wydzwaniał swą pieśń natchnioną, śląc w dal kaskady dźwięków. A gdy i on umilkł — wówczas czarodziej zagaju — szaropióry słowik — rozpoczął swoją serenadę. Zwrotka po zwrotce płynęły z drżącego gardziołka ptasiego wirtuoza, rozlegając się w ciszy nocnej szeroko i daleko. To cicho, niby nieuchwytne westchnienie, to jak wspaniała symfonja płynęła jego pieśń, napełniając zagaje dźwięczną nutą, zakończoną trelem. A gdzieś w oddali odzywał się drugi, trzeci, dziesiąty... I płynął śpiew słowiczy nieprzerwaną gamą. Cała szara kapela grała dookoła jeziora. Każdy jej członek starał się wybić na czoło, innych zagłuszyć, przewyższyć techniką wykonania i siłą dźwięku.

Lekki wietrzyk powiał od strony wody, przynosząc wonie rozpękających brzóz, błota i wiosennych kwiatów. Zaszumiał leciuchno w zaroślach, poruszył wyniosłe czuby sosen i gdzieś za górą ucichł, zamarł. A tymczasem z nad jeziora doleciał jakiś nowy odgłos. To ludzka rozmowa, cicha narazie, czasami zabrzmiała donośniej — by zaraz znowu w ledwie dosłyszalnym rozpłynąć się szepcie.

W małej zatoczce jakiś ruch powstaje. Słychać głosy ludzkie, plusk wioseł, skrzypienie desek... I oto nagle jak świetliki — wysuwają się czółna z roznieconemi na przodzie, w metalowych koszach ogniskami. Suną się cichutko, to znów zamierają w bezruchu. Przy blasku płonących drzazg smolnych, widać ciemną sylwetkę rybaka, czatującego z harpunem w dłoni na zdobycz. W głębi łodzi siedzi drugi, kierujący czółnem według wskazówek pierwszego. Cicho, niby mary senne, prują łodzie wygładzoną i lśniącą powierzchnię jeziora, rozjeżdżając się w najrozmaitszych kierunkach po całej srebrnej makacie. Niekiedy zgromadzają się po kilka, by wkrótce znowu się rozłączyć. Cisza. Rozlegnie się tylko przytłumione echo rozmowy, pluśnie donośniej wiosło, lub pokaźniejsza ryba i znowu wszystko w milczeniu się pogrąży. A w krzakach przybrzeżnych brzmi natchniony chorał słowiczy, przepiękny w swej prostocie i romantyczności.

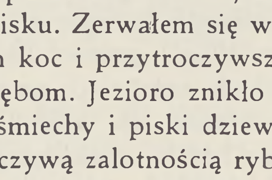
Wolno posuwa się łódź po wyiskrzonej wodzie. Wtem rybak dostrzegł ciemne cielsko szczupaka, płynącego w zielonych odmętach. Czółno się zatrzymuje. Rybak mierzy harpunem (t. zw. ością) i... naraz rozlega się plusk wody i gwałtowne szamotanie ryby pod powierzchnią. Rażony śmiertelnie szczupak napróżno się stara ześlizgnąć z ostrza, lecz siły go opuszczają... Uderzenia ogonem słabną coraz bardziej i wreszcie straszny ten dla mieszkańców wody potwór, ukazuje się zwisający bezwładnie z zębów ości, a wąski strumień krwi, barwi błyszczącą powierzchnię jeziora. Rybak radosnym ruchem rzuca zdobycz na dno łodzi, rozlegają się uderzenia wiosła i statek wraz z łowcami płynie dalej.

I znowu, jak błędne ogniki nad moczarem, snują się czółna we wszystkich kierunkach, a bystre oko ludzkie wypatruje ofiary w ciemnych wodach jeziora. Dostrzegło ją. Słychać pluśnięcie harpunu, błyśnie szczupak, jak szprotka nadziana na ostrze widelca i znowu w ciszy i martwocie zamiera wszystko. Czasami tylko, spłoszony z przybrzeżnych zarośli, kos zerwie się do lotu z przejmującym krzykiem i nagle wpadłszy w gąszcz, zamilknie, albo w dali zakwacze żerująca krzyżówka.

Łodzie znikły w oddaleniu i blado tylko, niewyraźnie majaczą ogniki. Ucichło pluskanie wioseł. Zaczęło świtać. Niebo na wschodzie zaróżowiło się, ciemności zrzedły, ukazując ziemię przyćmioną grubym welonem mgieł. Słowiki zaprzestały swego kwilenia, natomiast kos wygwizdywał swą urozmaiconą arję, a z za jeziora doleciał śpiew drozda, początkowo nieśmiały, urywany, potem coraz pewniejszy, śmielszy, doskonalszy. Niebo wciąż jaśniało. Już światło jutrzenki obfitym strumieniem jęło zalewać wzgórza, choć u ich stóp rozprzestrzenione wody tonęły jeszcze w jaśniejącym wciąż mroku. A drozd śpiewał długo, upajająco, rozkosznie...

Szybko, jak duchy przemknęły się rybackie łodzie po lustrzanej tafli jeziora, zawijając do małej zatoki. Rozległa się rozmowa, ożywiona śmiechem i piosenką, zasyczały zalane wodą ognie, wybuchając kłębami dymu i pary. A na brzegu stało już kilka dziewczyn z koszami, czekając na rybę. Słychać było okrzyki radości na widok wspaniałego połowu, parę ciężkich uderzeń — to wielkie szczupaki wpadały do nadstawionych koszyków...

Tuż nad moją głową, ze świstem rozcinanego skrzydłami powietrza, przeleciał cietrzew, mknąc w dal ku pobliskiemu tokowisku. Zerwałem się więc pośpiesznie na nogi, zrulowałem koc i przytroczywszy go przez ramię, ruszyłem ku porębom. Jezioro znikło mi z oczu i tylko z oddali leciały śmiechy i piski dziewcząt, uciekających przed zbyt natarczywą zalotnością rybaków.



Dr JAN OPOLSKI

Kłusownik — a policja i inicjatywa prywatna

Już po tem, jak oddałem do druku mój artykuł p. t. „Kłusownik — a Starostwa i Sądy" — pojawiły się w Nrze 1 i 3 1932 roku, dwie notatki, coś jakby na ten temat: jedna to p. Dudeka, wychwalająca któregoś tam sędziego za surowy na kłusownika wyrok i wzywająca czytelników „Łowca", aby o podobnych wyrokach czasopismo to zawiadamiali, druga, Wielkopolskiego Zw. Myśliwych, narzekająca na zbyt łagodny wymiar kar. Jedno i drugie całkiem niepotrzebne i bezcelowe, jeno zabieranie miejsca przeznaczonego na sprawy pożyteczniejsze, czy też przyjemniejsze do czytania.

Bezcelowe, gdyż sędziowie „Łowca" nie czytają i takie chwalby czy też żale do wiadomości ich nie dojdą. Tembardziej nie wpłyną na jakąś zmianę poglądów. Z dezyderatami swemi — jeśli uważają, że to coś pomoże — winni Szanowni Autorzy zwracać się do czasopism fachowych, prawniczych, t. j. tych, które sędziowie czytają. Z góry tu już jednak zaznaczę, że tego rodzaju pomysły ratunkowe, jakie rozwija Wielkop. Zw. Myśliwych „od urodzenia" na niepowodzenie są skazane.

Nie jest do pomyślenia bowiem, aby ustawodawca dając sędziemu w takich sprawach jak rabunek, podpalenie, zabójstwo i t. p., wolną rękę w wymierzaniu kary: zechce, da 20 lat więzienia, a zechce, to 3 lata i 1 rok — uchwalił gwoli ratowania zwierzyny taką ustawę, któraby temuż sędziemu nie zezwalała na łagodzenie kary do granic minimalnych.

Sądzę zresztą, że mój artykuł poprzedni (w Nrze 2 i 3 1932), wyjaśnił dostatecznie tę kwestję, tak że na przyszłość dalsze słuszne czy niesłuszne kwilenia na niesprawiedliwe sądy ustaną. Jest to bowiem droga do celu nie wiodąca. Jedna jest tylko, jedyna, a tę pokazałem: czyńcie ze sędziów myśliwych, a będziecie mieć w przyszłości takie kary, jakie je chcecie mieć już dzisiaj, a czasem miewacie.

Przechodzę do właściwego tematu niniejszego artykułu. Więc zakładam, Szanowni czytelnicy, a właściciele mniejszych lub większych łowisk, że poszliście za moją radą i po upływie, rozumie się, pewnej ilości lat (niezbyt zresztą wielkiej), przerobiliście wszystkich sędziów we wszystkich instancjach na istnych katów dla kłusownika. Wyobraźmy ich sobie — ni to właściciela nowo utworzonego hotelu oczekującego pierwszego gościa — dyszących chęcią dostania w swoje ręce takiego amatora cudzej zwierzyny. No, ale sami go chwytać, oskarżać i osądzać nie będą — to trudno. Trzeba im go dostarczyć. I tu przehodzimy do jądra kwestji.

Dwie bowiem muszą spełnić się rzeczy, aby walka z kłusownictwem była celowa: schwytanie, względnie zdemaskowanie sprawcy i surowa, drakońska kara. — O drugiem już była mowa, cofam się do pierwszego, podstawowego.

Do kogo należeć ma owo wykrycie, śledzenie, przytrzymanie, zdemaskowanie kłusownika? Teoretycznie, do policji państwowej. I jak wprzódy niemęsko narzekano na sędziów, tak tutaj utyskuje się przeważnie na policję. Czy słusznie jednak? Wątpię, również wątpię.

Może zgorszę niektórych z Czytelników, ale powiem szczerze co myślę a to, iż policja ma za zadanie ważniejsze rzeczy, aniżeli ochronę zwierzyny przez szukanie i śledzenie kłusowników. Myślę, że rozumiejący swój obowiązek posterunkowy nie przechodzi nad tą kwestją do porządku dziennego, ale i nie poświęca jej zbytniej uwagi. Traktuje narówni z innemi en passant, w braku ważniejszych, bardziej interesów ludzkich dotykających.

Wszak zdajecie sobie Panowie sprawę, jak trudną jest rzeczą wyśledzenie jednego, zręcznego kłusownika? Ile czasu, ile podstępów, chytrości, podchodów, wysiłków to wymaga? Czyż ma na to czas posterunkowy? Ten, który winien mieć oko na wszystko co się dokoła dzieje, na tysiąc możliwości kryminalnych, tysiąc administracyjnych? Ten, który ma nie dopuszczać, chronić, bronić, śledzić, badać, ścigać, wysłuchiwać, doprowadzać, wykonywać polecenia starostw, sądów, baczyć na lojalność każdego obywatela, państwową, narodową... Bóg nie wie co... Gdzież tu czas i na gorliwe poświęcenie się walce z kłusownictwem?

Sądzę, że rola policji na tym odcinku winna się ograniczyć tylko do zbadania faktów już przez trzecie osoby zebranych, do przeprowadzenia ostatecznych dochodzeń, spisania protokołu. Wyjątkowo tylko, w sprawach ważniejszych, można — zdaniem mojem — domagać się od niej czynnej interwencji. Przerzucanie całego ciężaru śledzenia i wykrycia na policję państwową i utyskiwanie na nią — to maskowanie własnego niedołęstwa.

Czytam wprawdzie tu i ówdzie (sam w praktycznem życiu tego nie spotkałem) o jakichś odznaczeniach, nagrodach, dyplomach itp., udzielanych posterunkowym za gorliwość w walce z kłusownictwem. Nie wiem jak to w rzeczywistości wygląda. To chyba jacyś bardzo ambitni idealiści owi posterunkowi, łożący tyle trudów, których taka walka wymaga, na to tylko, aby otrzymać ów dyplom, czy też medal. A może to tylko za takie finalizowanie spraw już przygotowanych, o jakich wyżej wspominałem, odznaczenia te otrzymują? Za ostateczne ujęcie zbrodniarza wśród okoliczności nawet niebezpiecznych? Jeśli tak, to rozumiem to i pochwalam. Ale czy jest tak istotnie?

Tutaj muszę nadmienić cośniecoś o pewnym typie posterunkowego (zazwyczaj przodownika), typie — zdaje się — nowym, powojennym, a nader mi niesym-

patycznym. Mam na myśli posterunkowego=myśliwego. Znam go, w kilku już różnych połaciach naszego kraju go spotkałem. Powstał w czasie zamieszek wojennych, gdy właściciele opuszczonych majątków jeszcze do sie= bie nie powrócili, gdy towarzystwa łowieckie jeszcze nie zawiązały się, gdy zwierzyna była co się zowie bezpań= ską, a inne troski, większe, przez duszę jej właściciel się przewalały. Wtedy to zrodził się ten miły typek i... już nie zginął.

Kto raz zakosztował przyjemności franc=tireur=stwa, niełatwo się jej wyrzeka. Rodzi się w nim pewna sa= mowola, pewna nieetyka, często gęsto zresztą bagateli= zowana. Małoż jest bowiem takich majątków (żydow= skich zwłaszcza), niestety, pełnych jakichże łowieckich możliwości, dla których właściciela ta tak kochana przez nas zwierzyna, nie dla innych jest chyba przeznaczona celów jak, aby właśnie ów przodownik na nią, kiedy ze= chce, zapolował i tamten egzekutor podatkowy i straż= nik skarbowy i kto tylko jest potrzebny i kto tylko chce polować. Wygodna forma zyskiwania wdzięczności: daje się a niczego się nie łoży. Więc legalne to niby — ale — sądzę niebezpieczne.

Niedawno temu czytałem — zdaje mi się — w kra= kowskim „Kurjerku" wzmiankę o jakimś „dzielnym" posterunkowym, co się gdzieś „obronił" kilku strzałami przed hurmą dzików, które go ze wszech stron otoczy= ły. „Koń by się śmiał z tego" — pomyślałem sobie cał= kiem ordynarnie, czytając tę naiwność. Już to napewne był jeden z tego „typku", ktoś, co zakosztował był kie= dyś przyjemności łowieckiej i gdzieś na jakimś obcho= dzie (jeżeli nie na zasiadce) napotkał dziki, nie wytrzy= mał i strzelał.

Opowiadał mi raz taki jeden: „wracając wieczorem z obchodu spotkałem całą kupę dzików, aż mi się czar= no od nich zrobiło, ale... strzelać nie mogłem, bo było już za ciemno". Nie jest zatem wykluczone, że taki po= sterunkowy=myśliwy, nawet z lekceważeniem innych swych obowiązków, gorliwie się zajmie śledzeniem i tę= pieniem kłusownictwa. Co do mnie, to wolałbym z ta= kiej pomocy zrezygnować. Także nie dawałbym takie= mu odznaczeń. Raczej starałbym się, by go na inny po= sterunek przeniesiono tam, gdzie takich lubią i odzna= czają. Gdybym natomiast sam potrzebował dzielnego posterunkowego do tej walki, do jakiejś specjalnej, nie= bezpiecznej ponad zwykłą miarę, to wybrałbym raczej niemyśliwego i sądzę, że umiałbym znaleźć jakąś inną drogę, by go zachęcić do działania. Sapienti sat.

Piszę o tem, gdyż obawiam się, że część przynajmniej tamtych, odznaczonych, to właśnie tacy posterunkowi= myśliwi. Nie bardzo mi się bowiem chce wierzyć, aby dla samego dyplomu, bez innego ubocznego zamiłowa= nia, znalazł się jakiś stróż bezpieczeństwa, coby się szczególnie gorliwie walce z kłusownikami oddawał.

Wracam do właściwego tematu. A więc wyjaśniłem już wyżej, czego słusznie od policji domagać się mo= żemy i jaką jest jej rola właściwa. Według tego winna ona wkraczać dopiero wtedy, gdy sprawa jest już do= statecznie przygotowana i wyjaśniona. Przez kogo? Oczywiście przez interesowanego. Inicjatywa prywatna, inicjatywa własna, oto pierwsze, najważniejsze, funda= mentalne słowo w walce z kłusownictwem. Więc dowie= dzieć się o wszystkich podejrzanych o kłusownictwo, więc śledzić ich przez straż, odpowiednio z ludzi zręcz= nych, odważnych, zdeterminowanych, najlepiej byłych mężnych żołnierzy wielkiej wojny dobraną. Obiecać im nagrody i to ponętne. Mało obiecać — dotrzymać obiet= nicy, gdy zajdą po temu warunki... Więc okazywać tym sprawom zainteresowanie, ba, świecić własnym przykładem, wziąć udział w wyprawie samemu, gdy na= dejdzie moment stanowczy. (Oczywiście nie mam na myśli panów wielkich latyfundjów, ani też wogóle star= szych panów: pierwszych zastąpią leśniczowie, drugich synowie).

Czynności śledcze dla ich niebezpieczeństwa i skom= plikowania, winno przedsiębrać kilku ludzi działających w kontakcie. Jeden człowiek niełatwo podoła temu za= daniu, chyba szczęśliwym trafem. Cóż znaczy jeden wobec nadzwyczajnej chytrości kłusownika, zwłaszcza, gdy ten przeczuwa, iż jest tropiony? Zresztą i on za= zwyczaj sam jeden w akcji nie występuje i przynajmniej dwie, trzy, lub więcej par bystrych oczu i czujnych uszu trzyma jego straż, w tej wojnie podjazdowej, gdzie wy= gra ten, co drugiego przechytrzy.

Oczywiście nie łatwo o to w małych okręgach łowiec= kich, dzierżawionych przez towarzystwa, lub w małych majątkach, trzymających jednego tylko gajowego. — W tym ostatnim wypadku interwencja osobista i kilku oddanych, śmiałych ludzi ze służby folwarcznej, może cel osiągnąć, w pierwszym trudność istotnie poważna.

Nie ma co zresztą dłużej rozwodzić się nad tem, jakie sposoby najskuteczniej wiodą do wyśledzenia sprawcy. Zależne to od tysiąca różnych okoliczności, od warun= ków miejscowych, topograficznych, etnograficznych, od umiejętności dobierania sobie ludzi, od temperamentu, charakteru i doświadczenia samej ściganej zwierzyny i t. p. Nie o to mi tu zresztą chodzi, Szanowni Czy= telnicy, będąc sami doświadczonymi myśliwymi z krwi i kości, bez mego pouczenia najlepiej wiedzą, jak w da= nych wypadkach postąpićby należało, by najlepiej zli= kwidować kłusowników.

Nie o to mi zatem chodzi i nie to w intencji mych ar= tykułów leżało. Powyższe przytoczyłem w tym celu, aby dojść do ostatecznej konkluzji, do kwintesencji mych wywodów.

Ten kto sam nic, ale to nic absolutnie nie czyni, żad= nej nie chce ponosić ofiary, nic na to nie łoży, aby znie= nawidzonego kłusownika wykryć, schwytać i wy= dać władzy, kto żadnym sposobem, żadnym wy= siłkiem nie stara się o to, aby tego, który karze klu= sowników t. j. sędziego, zrobić myśliwym, lub nauczyć go właściwego na sprawy łowieckie patrzenia, natomiast utyskuje, nudzi, zrzędzi, skarży się na policję, że nie

chroni mu „umiłowanej“ zwierzyny, na sądy, że karzą zbyt łagodnie, albo wogóle nie karzą — ten jest — zdaniem mojem — ten jest — ot... nygusem.

A jest ich dosyć.

A teraz odpowiadam p. Kaz. Wysockiemu:

Pisząc artykuł p. t. „Kłusownik a Starostwa i Sądy“ (Nr. 2 i 3/32 „Łowca“) sądziłem, że dwie, jakże proste, rewelacje, których słuszność i trafność starałem się wykazać, a to: iż właściwym do karania za kłusownictwo jest Sąd a nie Starostwo, i że na to, aby kary były odpowiednio wysokie, należy urobić sędziów na myśliwych — jak rzucone ziarna, tu zejdą, tam nie. Nie przypuszczałem jednak nigdy, iż wywołają one czyjąś niechęć, zaś forma artykułu — czyjeś oburzenie.

Pierwszy wyraz niechęci dał p. Kazimierz Wysocki w nrach 7 i 8/32 „Łowca“. Uwagi Jego i wywody — jak to zwykle bywa — nie przekonały mnie.

Obstaję przy swojej tezie.

Z uwag tych i wywodów odniosłem końcowe wrażenie — czego zresztą Szanowny Autor nigdzie wyraźnie nie wypowiada, — iż wystarczający jest ten odsetek sędziów myśliwych, jaki jest, względnie, iż mimo zabiegów hodowców zwierzyny, z przyczyn czy to braku ochoty, czasu, czy pieniędzy — odsetek ten nie daje się zwiększyć.

Jednakowoż „przy dobrej woli panów sędziów, można złemu zaradzić“, t. j. i ta reszta niemyśliwa, więc nieporównanie większa rzesza, zapoznawszy się z ważnością łowiectwa, mogłaby i powinnaby postępować w rozpatrywaniu spraw łowieckich, podobnie jak mała grupa sędziów-myśliwych.

Próżne teoretyczne życzenie! Jeżeli na niem się poprzestanie, smutny naogół stan walki z kłusownictwem na tym odcinku nie zmieni się i na przyszłość. Dlaczego?

Takie jest już prawo psychologji człowieczej, że nie masz dobrej woli bez pobudki.

Przychodzi na prowincję młody sędzia z miasta, bez żadnego zamiłowania sztuki łowieckiej, ba, bez najmniejszego o niej pojęcia, często bez zamiłowania przyrody, wsi, lasów, pól... Pisałem już o tem. Cóż ma być dlań pobudką do szczegółowszego i pieszczotliwszego traktowania spraw łowieckich — aniżeli innych? Zając, sarna, drzewko owocowe, koń, zboże w snopach, zegarek, uszkodzenie ciała, oszustwo i t. d., i t. d. — wszystko to dla niego na jednej platformie.

A może nawet przeciwnie, może wyda mu się bliższą godniejszą uwagi dola pokrzywdzonego biedaka, niż dola umęczonego zwierza i szkoda jego, majętnych zazwyczaj, właścicieli?

Szukam tej pobudki we wskazaniach p. Wysockiego. Mam ją: specjalna opieka ustawodawcy, którą on zwierzę otacza. Ale myli się Szanowny Autor. Ustawodawca surowszemi sankcjami karnemi chroni nie zwierzynę jako taką, a tylko tę, żyjącą w okopanych lasach, zatem kładzie nacisk nie na przedmiot kradzieży, ale na sposób jej popełnienia (złamanie woli właściciela, dobitniej wyrażonej przez okopanie swego lasu). — Całkiem wyraźnie ustawodawca to zaznacza, zaliczając takie kradzieże do kwalifikowanych z powodu „niebezpieczniejszej jakości czynu“. Wglądnięcie do kodeksu wykaże słuszność mego twierdzenia.

Tak więc owa pierwsza, rzekoma pobudka do wzbudzenia aktu dobrej woli dla prawnika-sędziego — niemyśliwego nie istnieje. — Lecz p. Wysocki podaje jeszcze drugą: okólniki pana Prezesa Czerwińskiego.

Istotnie było ich dwa. Dwa, troską o stan zwierzyny owiane, pouczające, zacne. Ucieszyły nas wszystkich myśliwych — chociaż wiedziałem zgóry, że wpływ ich może być tylko minimalny i bardzo krótkotrwały.

Czemu? Przeczytało je bowiem tylko jedno „pokolenie“ sędziów, aktualnie urzędujących. Przeczytało raz, pośród powodzi innych okólników, nieustannych nowych rozporządzeń, ustaw, orzeczeń, interpretacyj, uwag, artykułów dotyczących może spraw stokroć ważniejszych, żywotniejszych. A wszystkich ważnych, koniecznych, nagłych, do natychmiastowego zapamiętania, wyuczenia się i zastosowania.

Tak tedy siłą faktu okólniki te przejść musiały bez większego wrażenia — z wyjątkiem na tych, dla których były one właściwie niepotrzebne, t. j. na myśliwych. — A zresztą ile od tego czasu się zmieniło! Cały liczny narybek młodych sędziów nie czytał ich i nie będzie czytać, jak również i całe sądownictwo innych dzielnic.

Tak tedy i ta druga — jakże nikła — pobudka nie istnieje, lub jakby nie istniała. Wracamy do punktu wyjścia: sędzia-mieszczuch na prowincji, bez żadnej specjalnej pobudki, obojętny dla tych spraw...

Skąd pretensja, aby przy takim stanie rzeczy szczególnie do spraw kłusownictwa się animował? Czy dlatego, że nas — myśliwych to boli i obchodzi?

Skąd pretensja, aby mu nawet do głowy przyszło — jak tego wymaga p. Wysocki — ażeby specjalnie przez fachowców zapoznawał się ze sprawami myślistwa? Któremuż — jeżeli się go nie pobudzi — nasunie się nawet myśl, że należałoby się poradzić delegata M. T. Ł., zbadać coś więcej aniżeli wartość skradzionej zwierzyny? Czyż radzi się kogoś, gdy chodzi o kradzież ubrania, zboża, dęba? Pocóż mu doradcy, gdy już ustalił, że zając wart tyle a tyle, tyle dzik, sarna, (o czem zresztą informuje go sam pokrzydzony), że ten kłusownik zawodowy lub nie, był karany, lub nie i t. p. Mając to wszystko, uważa się za dość kompetentnego, by sprawę rozstrzygnąć, on, który rozstrzygać będzie musiał sprawy naprawdę zawiłe, czasem niezmiernie zawiłe.

To też porównania spraw kłusowniczych ze sprawami, do których trzeba wzywać rzeczoznawcę, lekarza, inżyniera, budowniczego, elektrotechnika, buchaltera i t. p. — chybione. W tych ostatnich sędzia nie rości sobie pretensji do znawstwa — w tamtych, nawet nie podej-

rzywa tego, iż trzebaby — jak uważa p. Wysocki — wzywać znawcę. Tyle o tem.

W artykule swoim, dość obszernym, połowę miejsca poświęciłem kwestji kompetencji sądów, połowę tej, którą ująłem lapidarnem zdaniem: róbcie sędziów myśliwymi. Pod koniec dałem — całkiem en passant — w samym kąciku jednego ustępu żartobliwą, co wynikało chyba z układu zdania (poprzedzające kropki), uwagę, aby gdy tamto nie pomoże, to by via żołądek, miłość do zwierzyny w opornych sędziach zaszczepiać. Żart widocznie kiepski — skoro się na nim p. Wysocki nie poznał.

Co więcej, ujął rzecz z niezmierną powagą, posegregował me rady na dwie równorzędne, z pierwszą rozprawił się gładko, drugiej dał cechy nieledwo zbrodnicze, powołał się na paragrafy karne.

Otwieram szeroko oczy. Czyżby, czyżby w powiecie w którym mieszka p. Kazimierz Wysocki nie zdarzały się wypadki, iż znajomym urzędnikom, sędziom i t. p. posyłano w upominku zwierzynę bez żadnych zbrodniczych zamiarów? Czyż, jeśli coś takiego się zdarzy, posyłający zająca to zbrodniarz z § 105 u. k. — a otrzymujący z § 104 u. k.?

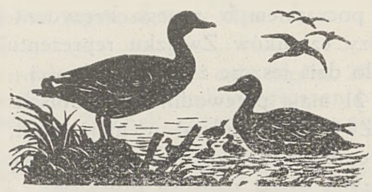
Szanowny Pan wprowadza w błąd czytelników przez takie naświetlenie sprawy, a na mnie („Drugiej rady... ja doprawdy nie rozumiem. Nie mogę bowiem przypuścić, aby p. Dr. Opolski...") rzuca jakoby cień. — Osobiście bywałem w tem szczęśliwem zazwyczaj położeniu, iż sam rozdawałem zwierzynę z miłą chęcią i dobrem sercem. Myślę, że i inni tak czynią. Zaś § 104 i 105 u. k. mówią tylko o tych wypadkach, gdy się sędziego do **stronniczości i naruszenia obowiązków uwieść usiłuje**, lub gdy on **za swe sprawy urzędowe podarunek przyjmuje.** Nie, tego zaiste na myśli nie miałem, to miał na myśli pan Wysocki.

Żartobliwa moja uwaga mogła iść w tym kierunku. aby zaprosiwszy znajomego sędziego czy innego urzędnika mającego wpływ na sprawy łowiekie na dobrą kolację, dać mu spożyć wykwintnie sporządzoną pieczeń z rogacza czy dzika i wytłumaczyć, że pozwolić hulać kłusownictwu, to pozbawić się takiej rozkoszy podniebienia. O czemś takiem m. w. myślałem. Myślałem i o tem, co zresztą nieraz zauważyłem, iż można ofiarować znajomym, bez ubliżenia sobie lub komuś, drobne upominki w zwierzynie. Kwestją taktu osobistego jest, nie posyłać rogacza sędziemu, u którego się ma wiszącą własną sprawę.

Mógłbym uczynić jeszcze inne zastrzeżenia co do różnych uwag pana Wysockiego, poprawić Jego poprawkę pojęcia kłusownictwa i kradzieży, powiedzieć coś o dwóch koniach z rzędem ofiarowanych sędziemu, nie chcę jednak przewlekać sprawy i kierować jej na martwe tory nie kończących się dyskusyj. To co najważniejsze (obrona mej tezy) i to co mię mogło osobiście niemco dotknąć — poruszyłem. Co do reszty, to myślę, że wystarczy, jeżeli czytelnicy zechcą powtórnie uważnie odczytać mój pierwszy artykuł.

Bardziej zmartwił mię protest kwiatu myślistwa Ziemi rzeszowskiej, umieszczony w Nr. 9 „Łowca". Nie umieściliby go — gdyby mię znali i nie tłumaczyliby sobie opacznie uwag w artykule mym umieszczonych.

Postaram się to wyjaśnić w następnym numerze „Łowca".



Z NOWYCH KSIĄŻEK

Jerzy Potocki. „Na wojnie i łowach". Z przedmową Dra W. Ziembickiego, 8-o, str. 155. Gebethner i Wolff. Warszawa 1932, z fotografją autora.

Łatwo opisywać swe myśliwskie przeżycia, gdy się polowało od Gór Skalistych Kanady po bieg górnego Nilu i po brzegi świętego Indusu! Przebogaty jednak swój materjał streścił Autor w sposób tak interesujący, umiejętny, prześlicznem piórem opisując barwnie swe przeżycia, faunę i florę egzotyczną i rodzimą, że doprawdy zazdrościć Mu go można. Odczuwa się jednak, że lwią część swego uczucia wlewa w opisy łowów na polskiej ziemi, gdyż ziemię tę ojców swoich ukochał przedewszystkiem.

Wplótł Autor w swe opowiadania i epizody z Wielkiej Wojny. Bije z nich ukochanie nieszczęsnej, oranej granatami zaborców polskiej ziemi, zarazem pewność, że wśród ich błysków wschodzi jutrznia wolności.

I wśród gromów haubic i grzechotu karabinów, nie gaśnie w Jego jaźni nerw myśliwski...

Książka ta miłą będzie do przeczytania każdemu myśliwemu i miłośnikowi przyrody.

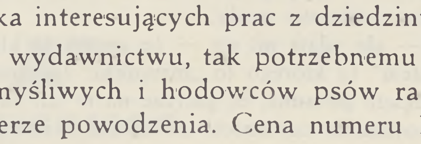
A. M.

Nowe Wydawnictwo

W Warszawie (ul. Polna 76), ukazał się miesięcznik p. t. Mój pies, wydawca D. Wacznade, redaktor W. Cieszkowski. Pierwszy numer, bogato ilustrowany, zawiera kilka interesujących prac z dziedziny kinologji.

Nowemu wydawnictwu, tak potrzebnemu i pożytecznemu dla myśliwych i hodowców psów rasowych życzymy szczerze powodzenia. Cena numeru 1 zł, prenumerata roczna 11 zł.

Red.



Z Biura Międzynarodowego Związku Łowieckiego w Paryżu

otrzymujemy obszerny komunikat o przebiegu sesji Komisji Związku dla sprawy ochrony łosia, odbytej w dniu 21 maja 1932 roku w Berlinie.

Ze względu na oszczędność miejsca podajemy istotną treść komunikatu w możliwem skróceniu.

Komisję Związku dla sprawy ochrony łosia zamianował w imieniu Związku z początkiem b. r. jego Prezydent p. Maxime Ducrocq, z pomiędzy członków Związku reprezentujących 8 krajów, w których łoś do dziś jeszcze żyje na wolności.

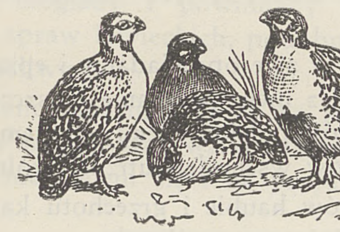
Sesji w dniu 21 maja przewodniczył osobiście wymieniony wyżej Prezydent Związku, a udział w niej wzięli, prócz członków komisji, także reprezentanci korpusu dyplomatycznego i przedstawiciele najwyższych władz państwa pruskiego.

Referaty wygłosili lub obszerniej głos w naradach zabierali: Dr. Haik, von Kobyliński, von Rogister (Niemcy), Dr. Rosenberg (Norwegja), M. hr. Potocki i prof. Gieysztor (Polska) tudzież prof. Iwanauskas (Litwa).

Debaty zajęły cały dzień czasu i zakończone zostały powzięciem rezolucji stwierdzającej piekącą konieczność ochrony łosia i dążenia do jego rozmnoży, w mierze dla rolnictwa nieszkodliwej. Członkom Komisji polecono tą rezolucją, niespuszczania tej sprawy z oczu w krajach przez siebie reprezentowanych i wystudjowania, w porozumieniu z myśliwymi środków, najodpowiedniejszych do osiągnięcia powyższych celów. Polecono im wreszcie żywą propagandę sprawy w swych krajach przez prasę, urządzanie wystaw, organizację odczytów, afiszowanie i t. d.

Członkowie Komisji byli podejmowani w czasie sesji jak najgościnniej przez księcia Meklemburgskiego i księcia z Ratiboru..

A. S.



KORESPONDENCJE

Kołomyja, 5 maja 1932 r.

„Marczaki" tegoroczne przeszły prawdziwy „chrzest cygański". Bo nietylko „kurzyło" porządnie, ale i śniegiem „duło fest", a i mroziku „kawalerskiego" nie brak było u nas na Podkarpaciu.

Nowonarodzone cyganiątko bez względu na aurę bywa „maczane" we wodzie, a często gęsto i w „przeręblach" t. j. otworach dla ryb zrobionych lub do pojenia bydła, a nawet w braku studzien i do czerpania użytkowej wody.

Nie wiem — ale zdaje mi się — że zwierzęta kierowane ‚wyższym instynktem" (a którego to „instynktu" ludziom brak) — są tak w nieszczęściu poradne, że patrząc na te ich zabiegi i pieczołowitość mimowiednie zazdrościć im trzeba, a nawet żal czujemy, dlaczego ludzie tego „daru" są właśnie pozbawieni?

Wiem, że pies przeczuje śmierć w domu lub pożar, wyjąc parę dni naprzód, bydło również swojem zachowaniem daje znać o zbliżającem się nieszczęściu i rwie łańcuchy, by się oswobodzić na czas ze swoich więzów, zwierzyna w lasach „instynktowo" przeczuje grożący pożar na kilkanaście godzin naprzód i ucieka w panicznym strachu, byle dalej od zagłady i nieszczęścia. Ryby w przeczuciu „srozszej" zimy niosą „ikrę" głębiej, aniżeli zwykle. Koń zestępując z góry, schodzi powoli i zda się, waży w myśli nad każdem stąpnięciem i omija niejeden kamień grożący usunięciem się z pod jego kopyt.

Opowiadał mi p. R. L., że w jego oczach w dwóch wypadkach tuż prawie przy przesunięciu skiby w jednem miejscu wydobył 3 zajączki, a w drugiem 2 i to tak głęboko w ziemi schowane, że za pługiem chłop idący nic kompletnie nie widział, aż już gdy pomiot był prawie na pługu.

Widzimy więc, że matka w przeczuciu ostrego marca, zabezpieczyła maleństwa od niechybnej śmierci zamarznięcia, głęboko w ziemi kopiąc dołek i wyścielając dla „swoich pociech" a „raju" dla myśliwych.

Wielki jest więc „instynkt" u zwierząt i ptactwa i stąd też pewnie i ten zasłużony i całkiem słuszny szacunek człowieka i ochrona dla tego stworzenia boskiego.

Widziałem w niedzielę, 1 maja przy ulicy Marszałka Piłsudskiego, jak kawka skrobała „szabasowe" futro, a naskubawszy sporo w dziób, odleciała (pewnie znowu budując i wyścielając gniazdo dla przyszłych kawek), a może w przeczuciu zimnego maja lub naszych, poczciwych 3 zimnych „mężów".

W lasach narazie cicho i zda się ten jesienny nastrój panuje pozornie. Brzozy pękły pod wpływem deszczu i 2 ciepłych fenomenalnych dni. Wiklina puszcza nadbrzeżna i wabi oko od tygodnia. Zieleń, jako zielona zaczyna ozdabiać i stroić nasze pola, ale w powietrzu czuć chłód od śniegiem pokrytych Karpat.

Dlatego nie skąpmy jeszcze pokarmu i pośladu, dla tych, co się tulą do tej matki-przyrody i do ludzi.

Dopomóżmy, jak kto może i kogo stać. W Ceniawie, na słynnych rozległych polach, właścicielka dóbr Wp. Paulina Kunzowa, za pośrednictwem sprężystego swego administratora i pełnomocnika p. Inż. Skucińskiego, rok rocznie rozrzuca pełne fury buraków i ziemniaków, za co w jesieni i w zimie zbierają plon w postaci paruset zajęcy. Wp. Bogusław Horodyński, właściciel Piadyk, dba również o swój stan zwierzyny jak na prawdziwego myśliwego przystało. Widziałem wśród strasznej kurzawicy i zasp śnieżnych, las przeorany pługiem, a zwierzynę w ilości 7 sarn, pasącą się i skubiącą pod lasem niedaleko toru kolejowego.

Oby takich naśladowców więcej było, a że tak jest — jak Polska nasza długa i szeroka — nawet w to nie wątpię.

Będąc na nartach w Słobodzie Rungurskiej z początkiem lutego i marca widziałem, idąc w kierunku Czarnego Potoku, tysiące ptactwa żerujące w cudnym lesie bukowym, a należącym do nadleśnictwa Peczeniżyn.

I pytałem sam siebie, kto to wszystko utrzymuje? Kto o tem pamięta? I przysła mi na myśl ta pamiętna bajeczka o zapomnianym robaczku na dnie morskiem, a jednak niezapomnianym przez Boga.

Malownicze położenie z widokiem na naszą Szwajcarję polską i Dolomity nasze t. j. bezkresne wprost i wprost niezrównane w swej krasie Karpaty z szerokim horyzontem, usposabiają i upajają duszę myśliwego, która musi wznieść się nad wyżyny i patrzeć innem okiem na ten śnieg bielszy od „baranków" sunących po niebie.

Droga do Osław białych wijąca się wspaniałemi serpentynami, a nadająca się na zawrotne zjazdy saneczkowe, z widokiem na Leszczów wyżny, niżny i inne szczyty, pełna zwierzyny łownej i szarego ptactwa, nastraja bardzo optymistycznie, gdyż chciałoby się tu żyć i umierać wśród tej całorocznej zieleni, spokoju i zbawczego słońca...

Stanisław Haleniak

Redaktor odpowiedzialny Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16